

Porażka sceptyków

Rok już minął od chwili, gdy postanowiliśmy zmienić charakter czterech stron niedzielnej wydania „Głosu Wielkopolskiego” i uczynić z nich nasz dodatek społeczno-kulturalny.

Gdy garstka entuzjastów złożona z członków zespołu redakcyjnego naszego dziennika oraz zapalców takich, jak Feliks Fornalczyk i Eugeniusz Paukszt, przystąpiła do pracy — odezwały się głosy sceptyków: Z czym do gościa? Co chcecie zrobić z czterech stron małego formatu? Czy przy takich szczupłych środkach finansowych przyciągniecie autorów? A jak chcecie pogodzić wasze ambicje poruszania trudnej problematyki z potrzebami masowego czytelnika?

Wyuszczonej powyżej trudności lekceważyć oczywiście nie sposób. Dawały się nam one we znaki przez cały czas istnienia „Głosu Tygodnia”. Jednakże przeglądane dziś 52 numery dodatku świadczą o tym, że trud warto było podjąć, że dobrze się stało, iż opinia sceptyków nie przeważała. Ogólnie bowiem rzecz biorąc, nie docenili ani autorów, ani masowego czytelnika, który jak się okazało, chętnie „Głos Tygodnia” bierze do ręki. Mimo owych obiektywnych trudności „Głos Tygodnia” zajął trwałą pozycję wśród wychodzących w Poznaniu wydawnictw.

Zgrupowało się wokół niego liczne grono autorów. Gdy wydawali się 15. X. ub. roku pierwszy numer dodatku, sami nie spodziewaliśmy się, że po roku pracy doliczymy się na tych naszych szczupłych łamach ok. 180 autorów, w tym przeszło 150 współpracowników spoza redakcji, drukujących na naszych łamach częściej, lub rzadziej swe artykuły, utwory literackie, lub udzielających wywiadów. Ukazały się w „Głosie Tygodnia” nazwiska działaczy partyjnych i państwowych, takich jak Stefan Olszowski, Jerzy Kusiak, Jan Bartkowiak, Witold Hempowicz, Janusz Przewoźny, Tadeusz Peksa, Zbigniew Pawlak, Dzierżymir Janowski. Drukowało na naszych łamach swe utwory 17 poznańskich prozaików (w tym wielu dwukrotnie) i 14 poetów. Zabierali głos przedstawiciele świata nauki, m. in. Józef Jankowiak, Zbigniew Jasicki, Maksymilian Kranz, Gerard Labuda, Andrzej Lewicki, Władysław Markiewicz, Witold Michałkiewicz, Władysław Rusiński, Olech Szczepkowski, Władysław Węgorek, Janusz Ziółkowski. Ukazały się reproduk-

cje prac 13 naszych poznańskich artystów. Nie zabrakło oczywiście dziennikarzy zarówno z zespołu „Głosu Wielkopolskiego” jak i z innych pism, z radia i telewizji.

Niesposób wymienić tu wszystkich naszych współpracowników, pragniemy jednak podkreślić, że spotkali się ze strony każdego z nich z życzliwym i bezinteresownym stosunkiem do pisma, z gotowością chwycenia w każdej chwili za pióro, zasilenia naszego dodatku i przemówienia w ten sposób do czytelnika.

Brak tu również miejsca na omówienie problemów polityki, jaką zajmowaliśmy się w „Głosie Tygodnia”. Ograniczamy się więc do wymienienia akcji i dyskusji prowadzonych na łamach dodatku:

Poznań — miasto doskonałe? Dyskusja o kulturze w powiecie. Jakich urządzeń kulturalnych potrzebuje Poznań.

W poszukiwaniu straconego czasu. Konkurs czytelnicy. Wybieramy najlepsze filmy (konkurs-ankieta).

Sprawy poznańskiej nauki. A poza tym — wiele artykułów o problemach przemysłu i rolnictwa, kultury i przemian społecznych, o tym wszystkim, co powinno interesować współczesnego człowieka.

Wydało się, że udało się ukształtowanie odrębnego od zwykłych numerów dziennika oblicza „Głosu Tygodnia”. Widoczne jest dążenie do wyciągania wniosków ogólniejszej natury, do syntezy, zachęcanie do refleksji, przy pozostawieniu spraw mniejszej wagi, drobnych interwencji innym wydaniom „Głosu Wielkopolskiego”, (choć i tu warto wziąć pod uwagę mądre słowa Henryka Korotyńskiego, który w Życiu Warszawy zachęca całą prasę do oddziaływania od zalewu drobnych, pojedynczych interwencji i ingerencji). Dla uniknięcia nieporozumień trzeba stwierdzić, że nie jest naszym założeniem pozabawienie zwykłych numerów „Głosu” artykułów syntetyzujących, poruszających problemy ważniejsze, jest ich tam tylko — z natury rzeczy — mniej, niż w „Głosie Tygodnia”, są tam inne proporcje między artykułami mniejszej i większej wagi, między publicystyką i informacją.

Gdy przeglądamy dziś wszystkie dotychczasowe numery dodatku — widzimy jeszcze sporo braków. Szerego potraktowano problematykę

Dokończenie na str. 3

Przed niewielu dniami nasz zachodni sąsiad — Niemiecka Republika Demokratyczna obchodziła 13-lecie swego istnienia. W tydzień po rocznicy udaje się z wizytą do NRD polska delegacja partyjno-rządowa z tow. Władysławem Gomułą i Józefem Cyrankiewiczem na czele. Te dwa wydarzenia zachęcają do zwrócenia szczególnej uwagi na charakter i wielostronny rozwój stosunków łączących nasze oba kraje. Wiemy jednak dobrze, że istnienie NRD i jej współpraca z Polską nie stanowi dla nas problemu „odświętnego”. Od chwili powstania tego pokojowego państwa niemieckiego, od chwili uznania przez nie łączącej nas granicy na Odrze i Nysie za nie naruszalną granicę pokoju interesujemy się żywo wszystkimi przejawami rozwoju i przemianami zachodzącymi w społeczeństwie naszych zachodnich sąsiadów.

Podstawowe znaczenie dla Polski — posiadającej szczególną historyczną i aktualną znajomość niemieckiego imperializmu — miał fakt objęcia władzy między Odrą i Łabą przez niemiecką klasę robotniczą w sojuszu z chłopstwem. Oznaczało to bowiem likwidację klasowych podstaw niemieckiego nacjonalizmu i militarysty, likwidując prusactwo, którego antypolskie ostrze zagrażało przez wieki bezpieczeństwu a nawet istnieniu naszego narodu. Utrwalenie władzy ludowej i postępu socjalistycznego rozwoju kraju związane były z kolei w NRD z niezmiernie również dla nas doniosłym procesem stopniowych przemian w świadomości szerokich warstw tamtejszego społeczeństwa.

Zdawali sobie sprawę, że i w tej części Niemiec, która weszła w skład NRD, znaczna liczba ludności, podobnie jak w Niemczech zachodnich, obciążona była w pierwszych latach powojennych ogromnym bagażem hitlerowskiej ideologii i jeszcze starszych od niej reakcyjnych mitów. Zdemaskowanie tych mitów, przedstawienie prawdziwego katastrofalnego dla świata i dla samych Niemców oblicza hitlerizmu, wpojenie poczucia odpowiedzialności za zbrodnie popełnione na innych narodach i nauczanie poszanowania dla prawa każdego narodu do bezpiecznego i swobodnego rozwoju — oto trudne i odpowiedzialne zadania, które postawili przed sobą postępowe siły w NRD, realizując je z pełną konsekwencją i uzyskując poważne wyniki.

W duchu przyjaźni

Przykładem osiągniętych już prze mian jest doprowadzenie do sytuacji, w której tak niewątpliwie trudny dla Niemców problem przesiedleń i ostatecznego uznania granicy na Odrze przestał wiać w NRD istnieć. Rozsądna polityka integracyjna w stosunku do przesiedleńców, niedopuszczenie do powstania jakichkolwiek związków czy innych organizacji przesiedleń-

Halina Brodzka

Sąsiedzka współpraca

czych, które podsycalyby nastroje rewizjonistyczne, stałe akcentowanie i wyjaśnianie bezwarunkowej konieczności uznania ostatecznego charakteru nowej granicy wschodniej Niemiec — to czynniki, które wpłynęły na rozładowanie tego problemu nawet wśród dawnych przesiedleńców, a tym bardziej wśród reszty społeczeństwa.

Ogromne znaczenie dla przyszłości samego narodu niemieckiego, a i dla nas — jego najbliższych sąsiadów — ma wychowanie młodego pokolenia w NRD. Postępowa szkoła Niemieckiej Republiki Demokratycznej wychowuje młodzież w duchu przyjaźni do innych narodów, odsłaniając karty niemieckiej przeszłości i nawiązując do postępowych tradycji niemieckich humanistów, demokratów i rewolucjonistów. W NRD rosną zastępy młodych Niemców, dla których jedyną słuszną perspektywę stanowi pokojowy, socjalistyczny kierunek rozwoju kraju.

Nie dziwnego, że na tym tle i w tej atmosferze powstaje w społeczeństwie NRD sympatia do Polski, budzi się żywe zainteresowanie jej życiem i osiągnięciami, któremu sprzyja wielostronna współpraca łącząca nasze państwa. Powszecchnie na przykład znany jest w Polsce fakt współdziałania obu państw przy budowie kombinatu paliwowo-energetycznego w Turoszowie i w rejonie Konina, czy też budowa rurociągu naftowego „Przyjaźń”. Nie wszyscy jednak u nas zdają sobie sprawę z szerokiego zakresu współpracy naukowo-technicznej między NRD a Polską. Współpracę taką prowadzi np. od 1955 r. Zakłady Azotowe im. Pawła Findera w Chorzowie z Zakładami Azotowymi w Piesteritz. Chorzowskie „Azoty” uzyskały już blisko 10 mln. zł oszczędności dzięki zastosowaniu usprawnień z zakładów w NRD. Współpracę i wymianę naukowo-techniczną prowadzą też liczne instytuty. Zgodnie z

postanowieniami XVI Sesji RWPG polsko-niemiecka komisja gospodarcza ustaliła obecnie szczegóły programu dalszej współpracy zwłaszcza w zakresie specjalizacji i kooperacji w dziedzinach produkcji rolniczych z powodzeniem w obu krajach, jak np. w przemyśle stoczniowym, chemicznym i innych.

Nowy typ stosunków

Również w zakresie handlu zagranicznego między Polską a NRD coraz wyraźniejszy staje się wpływ ustalonego w ramach RWPG podziału pracy. Warto przy tym wspomnieć, że NRD zajmuje od szeregu lat drugie miejsce w handlu zagranicznym Polski. Duże znaczenie dla naszych sąsiadów mają m. in. ostatnio dostawy polskich urządzeń i wyrobów ułatwiających NRD uniezależnienie się od dostaw z Niemieckiej Republiki Federalnej, której rząd usiłował wywołać zakłócenia w gospodarce NRD. Polska dostarcza w ramach tej pomocy do NRD wyroby walcowane, obrabiarki, artykuły elektrotechniczne i precyzyjne.

Współpraca Polski z NRD obejmuje oczywiście wiele jeszcze innych dziedzin poza gospodarką — a przede wszystkim działalność kulturalną. Polska literatura dostępna dzięki licznym przekładom czytelnikom w NRD, polski film, plastyka, muzyka znajdują za Odrą wielu gorących wielbicieli. Zarówno zainteresowanie naszymi publikacjami, jak też kontakty gospodarcze, handlowe i naukowe skłaniają coraz liczniejszych obywateli NRD, a zwłaszcza młodzież — do nauki języka polskiego.

Wszystko to sprawia, że nie tylko od świata — ale w codziennym naszym życiu mamy możliwość stwierdzić, iż nowy typ stosunków łączących Polskę i Niemiecką Republikę Demokratyczną wpływa decydująco na kształtowanie się nowych więzi również między społeczeństwami obu krajów.

Bronisław Wojciech Linke

Reproduktowane obok dzieło Bronisława Wojciecha Linkego — pochodzi z teki pt. „Kamienie krzyczą”, wydanej w 1959 roku przez Wydawnictwo Artystyczne i Graficzne. Tekę ta była wielkim wydarzeniem artystycznym, nie tylko dla naszego kraju i nie tylko dla roku wydania, lecz dla całego okresu powojennego.

Linke zmarł. Odszedł od nas w wieku, który jest dla twórcy na ogół najlepszy, najbogatszy, po pięćdziesiątce bowiem na ogół dopiero mamy do czynienia z uściłowaniem formą twórczości plastycznej; wtedy artysta konfrontując swoją dotychczasową twórczość ze swoim programem artystycznym — dochodzi do najwłaściwszej konkluzji. Nie będzie już nowych, tak wstrząsających i zupełnie oryginalnych w formie, rysunków Linkego ani jego obrazów mniej znanych szerszej publiczności. Pozostało jednak Jego wielkie dzieło, które weszło na zawsze do skarbnicy kultury narodowej naszego kraju.

Linke urodził się w 1908 roku

w Dorpacie. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Wcześniej rozpoczął działalność artystyczną, wiążąc się w okresie międzywojennym z postępowymi ugrupowaniami artystycznymi jak „Czapka frygijska” i „Powiśle”. Uprawiał przede wszystkim karykaturę: polityczną, społeczną i obyczajową. Przez całe swoje dojrzałe życie związany był z lewicowym nurtem polskiej sztuki, współpracował z szeregiem pism lewicowych, wśród których najsilniej związany był ze „Szpilem” (aż do ostatnich chwil swego życia). Czas wojny spędził Linke w Związku Radzieckim. Po powrocie do kraju w 1946 r. kontynuował twórczość i wówczas otrzymaliśmy od niego niezwykle, budzący sumienia, przerażający w swojej grozie cykl obrazów, pokazujących okrucieństwa wojny i hitlerowskie barbarzyństwo. Cykl ten stanowi swoisty dokument „czasów pogardy”, jedyny w swojej formie i jedyny chyba jeśli wziąć pod uwagę siłę wyrazu artystycznego. Zarówno ten cykl jak i cała twórczość Linkego — cechuje niepowtarzalność, właśnie „jedyne” ujęcie tematyki, fantastyczne i groźne, dziwne jakieś i poplątane, a jednak pełne niezwyklej ekspresji wizji plastycznej.

Linke tworzył dzieła ogromnie dyskusyjne, pobudzające do reakcji. Zabierał też na temat jego twórczości głos wielu pisarzy i myśliciele naszego czasu: Maria Dąbrowska, Stanisław Ignacy Witkiewicz. Oto co napisała o nim Maria Dąbrowska w 1958 r.:

„Znawcy podkreślają symbolikę i metaforę obrazów Linkego, antropomorfizującą przedmioty i dehumanizującą człowieka. Także obrazy ruin Warszawy i walki toczonych w tych ruinach są nasycone i przesyczone antropomorfizującą metaforą. Jest to jednak szczególna odmiana metafory, przekraczająca dość płynnie granicę dzielącą metaforę od czystej fantastyki... Malarstwo Bronisława Linkego, czy nam się to podoba lub nie, jest w jakimś sensie literackie i analogie z pewnymi wyznacznymi dziełami pisarskimi są tutaj uprawnione”.

I jeszcze wyznanie pisarki: „...moja wizja artystyczna świata jest całkiem inna. Nie odczuwam potrzeby wywoływania w sobie dreszczu grozy za pomocą imaginacyjnych upiórów i wole fantastykę humoru od fantastyki przerażenia. Człowiek z jego sprawami, a wszechświat z jego tajemnicami są dla mnie wystarczającym źródłem i przerażenia, i entuzjazmu. Nie mówię tego, aby siebie przy okazji wysunąć, ani na moje dobro. Mówię to na dobro Linkego. Bo z jego sztuką wolalabym się spierać, niż się na nią godzić. Ale w tym, że mogłam szczerze napisać o nim to, co napisałam, widzę potęgę jego geniuszu”.

A więc geniusz? Na pewno wielki artysta. Polska Ludowa doceniała jego talent i twórczość, odznaczając Go kilkakrotnie. Ostatnio, w lipcu bieżącego roku otrzymał nagrodę I stopnia Ministra Kultury i Sztuki za całokształt twórczości.

M. S.



Kamienie krzyczą

Br. W. Linke

Eugeniusz Pauksza

Kazimierz Jaźwiecki

ZMIANA POSTAW I POGLĄDÓW

Fragment z III tomu teatrolologii z XVII w. pt. „Straceńcy”. Część ta pt. „Beczka Danaid” wraz z tomem IV ukaże się w druku, nakładem Wydawnictwa MOK.

Wbrew spodziewaniam, obra dy sejmikowe w pamiętającej Jagiełłę kolegiacie średzkiej ciągnęły się spokojnie i w należytej powadze. Ciasno było w ławach i na dostawionych krzesłach, samych posłów liczono na sześciuś, nie licząc sporej grupy ciekawej szlachty, tłoczącej się w gólczyk budowlany.

Pod gwiaździstym sklepieniem wyczuwano się jednak nienaturalność tego spokoju. Z rąk do rąk krążyły między posłami jakieś pisma, tu i ówdzie głowy schylały się ku sobie w dziwnym szeptańcu, coraz więcej osób odsuwało się od kasztelana poznańskiego Grzymułtowskiego, który rozsiadł się w pierwszej ławie i z niejaką demonstracją przesłaniał co jakiś czas dłonią szeroką gębę dla ukrycia ziewania. Wojewoda kaliski, Jan Opaliński, rozglądał się uważnie dokoła, głową komuś kiwał, jakby znak dając.

Krzycki zakończył swoją wypowiedź pełnym patosu apelem, szedł trzęsąc brodą na swoje miejsce, gdy nagle nie czekając kolei, wyrwał się z tylnych rzędów krewki Zdziechowski, wymachując arkuszem papieru biegł ku przodowi.

— Panowie bracia. Serce rosnęło, ład obrad naszych widząc, gdyby wszystko tak było prawdziwe, jako się może wydawać. Wszak smutne wieści nas docierają, ostrzeżenia sła ludzie zani, zastużeni koło ojczyzny. Słaniał Zegocki, Wielkopoleński, który naj słuszniej dostąpił infuły chełmskiej, wiedząc o znośnościach ku zdradzie ojczyzny, przestroję daje. Oto pismo, jakie do sejmiku wysłał, honorem i sumieniem własnym gwarantując prawdę relacji.

— Czytał już, czytał.
— Łza to, zacnej osoby kasztelana sponowienie.

Zdziechowski w niesłychanym przejęciu czytał najważniejszą partię końcową. Oto w rozmowach z ludźmi brandenburskimi, obiecał mi kasztelan zajęcie Poznania i Kalisza, byle mu elektor dostarczył sześciolokowy korpus. Wprawdzie Fryderyk Wilhelm wolał uchylić się od wyraźnej zgody, ale na koniec miesiąca zapowiedział nad granicą popisywanie wojsk swoich, które, dodawał Zegocki, mają pewnie prowadzić panów polskich do Korony. Zatem przetrzeźwia, błaga o zwrócenie uwagi na zdradców i odwrócenie tym samym najopłakawszych możliwych skutków, gdyby się knowaniom zawczasu nie zapobiegło.

— Łza to! — mocnym głosem powstając zawołał Grzymułtowski, znów usiadł, szczęki zwał tylko, aż mu twarz zbieła z napięcia.

— Prawda, prawda, imć kasztelanie! A nad czymście to w Poznaniu u Zeleńskiego radzili? Może nad sposobem grzybów zbierania po lasach?

Już po spokoju. Wszystkie namietności, wstrzymywane dotychczas wydobywały się na zewnątrz. Przeciwnicy Grzymułtowskiego i jego słonniczy przekrzykiwali się nawzajem.

Mały, nerwowy Barski zwracając się do Grzymułtowskiego i Zeleńskiego, wyszukując wzrokiem na sali Jana Opalińskiego, zwrócił teraz powszechną uwagę swoimi rewelacjami:

— Zali nie byli tam razem Cekowski i Smogulecki? Zali Zareba nie pomstował najwięcej przeciw królowi? Rzeknijcie, nie radziliście może, jak nie dopuścić do uchwały o powołaniu pospolitego ruszenia. Nie było może takiej konkluzji, by sejmik nasz rozbił, gdyby nie po myśli przebiegał? Po toście tutaj przybyli, po nic innego!

Towczy koronny stracił zwykły swój tupel. Podniósł się zgarbiony jakiś, zmalaty. Cicho mówił, z trudnością go słyszano, gwaru na tylnych ławach nikt już nie mógł uchrzcić.

— Panowie bracia, waszmościowie wielce mnie mili, potwarz to i wierutny fałsz, celem jego sponowienie zasłużonych względem ojczyzny. Jakże to, w gronie przyjaciół obiedować już nawet nie wolno? Rozmów na temata wieść polityczne? Skąd iża taka i oskarżenia? Niechajcie, waszmość panowie wicherzenia, słuchaliście, jako w liście

Ciąg dalszy na str. 3

Zjawisko nie notowane od wielu lat. Masowy napływ młodzieży wiejskiej do średnich szkół rolniczych. Fakt jak najbardziej pożądanym, wysoce pozytywnym, świadczący o zmianie postaw i poglądów wśród mieszkańców wsi wielkopolskiej. Jeszcze parę lat temu notowaliśmy trudności z naborem do technik rolniczych, nie pełne obsady pierwszych klas. Zmiana na lepsze zarysowała się już w ubiegłym roku, aby w bieżącym osiągnąć tak zwany szczyt: po dwóch i trzech kandydatów na jedno miejsce w klasach pierwszych.

Z tego wynika logiczny wniosek: ludzie na wsi zrozumieli, iż w nowych warunkach ekonomicznych, w dobie postępu technicznego — nie można dalej gospodarować po staremu. Zaczyna nabierać znaczenia realnego, powstałe przed 100 laty hasło-przyswiole, że „temu ziemia dobrze rodzi, kto po polu z głową chodzi”. Z głowa, to znaczy z jakąś sumą wiedzy zawodowej, teoretyczną podbudową przyswajanej od dzieciństwa wiedzy praktycznej. Świadomość tej potrzeby leży niewątpliwie u podstaw zwiększonego w tym roku napływu młodzieży rolniczej do szkół zawodowych.

Po dwóch i trzech kandydatów na jedno miejsce. A więc najslabsi w wyniku egzaminów wstępnych musieli odejść. Najslabsi, to nie znaczy słabi w ogóle. I to nasuwa dziennikarzowi wniosek-pytanie: czy nie za mało mamy średnich szkół rolniczych w Wielkopolsce?

Czy więcej szkół?

Pytanie dość istotne, bo jak się okazało 10 techników ogólnorolniczych i 12 specjalistycznych oraz 4 dwuletnie, ogólnokształcące rolnicze (zaliczamy je również do średniego szkolnictwa) nie wystarczają, nie mogą wchłonąć żadnej wiedzy młodzieży obojga pici. Wydaje się więc, że można i nas sieć tych szkół powiększyć. Mamy bowiem w naszym województwie kilkadziesiąt tak zwanych resztek i kilka setek hektarów słabo zagospodarowanych gruntów Państwowego Funduszu Ziemi. Obiekty w sam raz dla zlokalizowania placówek szkolnych z własnymi gospodarstwami rolnymi.

Zrealizowanie tego postulatu wymagać będzie znacznych nakładów inwestycyjnych. Może to budzić zastrzeżenia, jednak po głębszym prześledzeniu problemu, każdy ekonomista dojdzie jednak do wniosku, że wydatki na ten cel zamortyzują się

w krótkim stosunkowo czasie. Twierdzenie takie udowadniają nam wszystkie gospodarstwa produkujące w produkcji rolnej, których właścicielami, lub kierownikami, są z reguły ludzie z wykształceniem zawodowym. Zatem nakłady na budowę dalszych szkół rolniczych — przyniosą w rezultacie wysokie procenty społeczeństwu i państwu. Bo dla gospodarki narodowej nie jest

Problemy szkolnictwa zawodowego

obojętne, czy ziemia wyda 30 kwintali zbóż z hektara czy tylko 10 kwintali, czy krowa da rocznie tyśię czy 4 tyśięce litrów mleka, czy ze 100 hektarów sprzeda się 100 czy też tylko 10 tuczników rocznie.

Nauka pomaga praktyce

A omawiane tu szkoły rolnicze średniego typu, w których pobiera naukę 1500 osób na lekcyjach stacjonarnych i 1500 osób zaocznie (korespondencyjnie) — poprzez gospodarstwa rolne udowadniają nam znowu, jak dzięki naukowym metodom gospodarowania wydajność ziemi wybiega daleko w przód w porównaniu ze średnią wojewódzką

(19 q/ha) nie mówiąc już o średniej krajowej (17 q/ha). Na przykład w gospodarstwie Technikum Rolniczego w Środzie, średnia plonów czterech zbóż wynosi 30 q/ha, w Powodowie na glebach IV i V klasy 27 q/ha itd. Przeniesienie szkolnych doświadczeń do praktyki — daje krajowi niemałą wcale akumulację. I choćby dlatego nakłady na organizację nowych placówek nauczania typu średniego, byłyby wysoce rentowne.

Szkoda więc, że kilkudziesięciu chłopów wiejskich odeszło w tym roku od bram szkół rolniczych z tak zwanym kwitkiem.

Ratują nieco sytuację, popularne w naszym województwie szkoły niższego typu, trzyletnie, inaczej zwane dwuzimowymi. Mamy ich 12 męskich i 11 żeńskich. Nauka rozpoczyna się 1 listopada, ale już dziś wiadomo, że pierwsze klasy będą przepełnione. To dobry znak. Naszemu rolnictwu potrzeba bowiem nie

tylko inżynierów z wyższym i techników ze średnim wykształceniem, lecz także majstrów i czeladników — używając nomenklatury rzemieślniczej — wszechstronnie przygotowanych do trudnego zawodu rolnika. Takie właśnie przygotowanie dają nasze dwuzimówki, uzupełniając z powodzeniem szkolnictwo średnie.

Niepokojące sygnały

Tymczasem docierają do nas wieści nie bardzo wesołe, budzące zaniepokojenie działaczy wiejskich. Istnieją tendencje, zmierzające do

powolnej likwidacji dwuzimówek i ewentualnie przekształcenie ich z ogólnorolniczych na specjalistyczne. Wprawdzie żadnych centralnych decyzji w tej sprawie jeszcze nie podjęto, ale owe tendencje znalazły już — poddyktowane chyba nadgorliwością — praktyczny wyraz w likwidacji dwuzimowej Szkoły Rolniczej w Poznaniu - Gołębiniu. Wbrew gorącym protestom organizacji rolniczych powiatu poznańskiego i m. Poznania.

Tendencje, zamierzenia i posunięcia co najmniej przedwczesne — żeby nie nazwać ich drastycznymi. Szkoły specjalistyczne są i będą niewątpliwie potrzebne gospodarce wielkotowarowej. To jasne. Ale gdy obecnie 80 procent ziemi znajduje się w gospodarstwach rozdrobnionych, to i produkcja musi być z konieczności wielodziałowa, a zatem i gospodarze muszą mieć wszechstronne przygotowanie zawodowe. Wąski specjalista nie będzie mógł zastosować w praktyce zdobytej wiedzy nawet na stanowisku agromoma gromadzkiego, a cóż dopiero na małym lub średnim gospodarstwie.

Wyrażamy przekonanie, że w aktualnych warunkach strukturalnych naszego rolnictwa, likwidowanie ogólnorolniczych szkół dwuzimowych — byłoby niekorzystne. Tego typu szkoły należy raczej umacniać, wyposażać lepiej w pomoce naukowe i unowocześniać pod względem przedmiotowym i metodycznym — czego właśnie domaga się praktyka.

Józef Lubojański

Od „Polnische Wirtschaft” do polskiego cudu gospodarczego

Latem bieżącego roku wielu reporterów zachodniemieckich odbyło podróż po Polsce. Ich rezultatem były reportaże, które ukazały się w wielu poważnych pismach w NRF. Cykl artykułów, których druk rozpoczynamy poświęcony jest przeanalizowaniu owych publikacji zawierających wiele ciekawych momentów, będących odbiciem zmian dokonywających się w opinii NRF, gdy chodzi o spojrzenie na Polskę, a zwłaszcza na nasze ziemie zachodnie i północne.

Latem 1957 r. Charles Wassermann, żyjący w Kanadzie syn wybitnego pisarza niemieckiego Jakuba Wassermanna, odbył podróż po polskich ziemiach zachodnich i północnych. Wrażenia z podróży ujął w cyklu reportaży, których sens zamykał się w zdaniu: „Kraj ten powraca znowu do swego stanu pierwotnego. Daleko, naprawdę daleko, posunął się już ten rozpad”.

Polskie lato 1962 w NRF (I)

To był w tamtych latach podstawowy ton zachodniemieckich artykułów i reportaży o Polsce. Pięć lat później, inny zachodniemiecki publicysta napisze („Der Spiegel”, nr 48 z 22. XI. 1961):

„W tamtych latach powstały liczne reportaże i książki, które dziś panują nad wyobrażeniami przeciętnego obywatela Republiki Federalnej o utraconym kraju na wschodzie.”

„Przyczyniło się to niemało do konserwowania u wysiedlonych nadziei na powrót”.

W lecie 1962 r. publicyści i dziennikarze niemieccy z NRF odbyli znowu podróż po Polsce i polskich ziemiach zachodnich i północnych. W kilku poważnych pismach zachodniemieckich ukazały się cykle reportaży o Polsce. Co ich autorzy mają do powiedzenia swoim niemieckim czytelnikom o Polsce 1962 r.?

Jeden z nich (Hans Gerlach w „Koelner Stadtanzeiger” nr 178 z 3. VIII i 179 z 4/5. VIII. 1962) pisze:

„Polnische Wirtschaft”? Powinniśmy pogrzebać ten slogan. Nie jest on już prawdziwy... Rzeczywistość jest bowiem całkiem inna, bez względu na to czy nam się to podoba czy też nie... Za Bytomiem, po drodze do Opola, zaczyna się potem pokryta lekkimi, szerokimi fałdami ziemia śląska. Pustynia? Mój Boże. Wszystkie pola uprawione do ostatniego metra kwadratowego...”

To dotyczy „polnische Wirtschaft” w ogóle, a Opolszczyzny w szczególności. W „Sternie” (nr 32 z 12. VIII. 1962) Egon Vacek pisze w związku z kłamiwym reportażem, jaki ukazał się przed pewnym czasem w jednym z rewizjonistycznych piśmideł o dolnośląskim miasteczku Oleśnicy:

„Jest to reportaż umysłowo chorego, albo kłamcy — albo też Oleśnica w cią-

gu dwu lat pozostawiła w cieniu wszystkie osiągnięcia niemieckiego cudu gospodarczego”.

Richard Thillenius pisze w „Sued deutsche Zeitung” o Gdańsku: „Stare miasto, tonące w morzu białoczerwonych sznitarów promienie jak nigdy, jakby nigdy — jeszcze przed 15 laty — nie leżało w ruinach i popiele”.

Artykuły wywołują odgłosy ze strony czytelników. Jeden z nich pisze w „Sternie” (nr 34 z 26. VIII. 1962) o Mazurach:

„Pański wielki reportaż potwierdza moje własne wrażenia z podróży po dzisiejszych Prusach Wschodnich, którą odbyłem w sierpniu ubiegłego roku. Co prawda znalazłem moje ukochane wschodniopruskie strony ojczyste innymi niż przed 1945, ale też innymi niż je przedstawiała określona prasa w Republice Federalnej. Oto prawda: wszędzie uprawione pola i pasące się krowy na łąkach. Na Wschodzie, który zwiędział, ruiny wojny zniknęły, a na ich miejscu przynajmniej częściowo powstały nowe budynki”.

Dziennikarze z NRF znajdują się w nieprzyjemnej sytuacji, kiedy w Polsce pokazuje się im kłamstwa, wypisywane w NRF o Polsce. Cytowany już Hans Gerlach pisze:

„Gdy rozmowa schodzi na teraźniejszość, sytuacja dla Niemca z NRF staje się trudna. Co ma powiedzieć wobec stosów gazet przesiedleńczych, które po drugiej stronie zbiera się i czyta z największą starannością? Co ma odpowiedzieć, gdy pokazuje mu się poważną gazetę zachodniobermberską z reportażem sprzed kilku dni o mieście ruin — Wrocławiu, pełnym wygłodzonych ludzi, chłopów składowych i rosyjskiej muzyki pływającej z głośników? Czy ma bronić swego kolegi, czy też ma powiedzieć, że jest on wariatem albo kłamcą?”

Lato 1957 — Charles Wassermann pisze w odniesieniu do naszych ziem zachodnich i północnych o powrocie do „stanu pierwotnego”. Lato 1962 — Hans Gerlach, Richard Thillenius, Egon Vacek, poważni dziennikarze z poważnych pism zachodniemieckich piszą: „polnische Wirtschaft to przebrzmiały slogan”.

Ton tej nowej serii artykułów nadał „Der Spiegel” w znanym artykule z listopada ubiegłego roku, w którym czytaliśmy:

„Ta zmiana na utraconych polskich ziemiach wschodnich — polski cud gospodarczy — to dzieło Gomułki”.

A więc od „polnische Wirtschaft” do „Polens Wirtschaftswunder”.

Co zaszło w ciągu tych pięciu lat w Polsce i w Niemieckiej Republice Federalnej? O tym w następnym artykule.



Ilustr. Ewa Pruska

Sprawy poznajskiej nauki

Jesień

Zdjęcie:
Maria
Przychodźka



Potrzeba łączności

Lin zielarskich zajmuje się Rada Nauko-wo-Techniczna przy Ministrze Rolnictwa. Koordynowane są również prace prowadzone w Instytucie dla Komisji Farmakopei Polskiej.

W samej planowej działalności nauko-wo-badawczej Instytut współpracuje doradczo i w miarę potrzeby z pokrewnymi placówkami, jak: z Instytutem Leków, Instytutem Farmaceutycznym, Instytutem Ochrony Roślin, względnie z wyższymi uczelniami, a zwłaszcza z katedrami farmakognozji.

Dyskusja nad artykułem M. Skap-skiego pt. „Koordinacja? — tak!”, jaka prowadzona jest na łamach „Głosu Wielkopolskiego” dotyczy koordynacji badań naukowych oraz form współpracy i wzajemnej pomocy na terenie miasta Poznania i województwa.

Na plan pierwszy wysuwane są wspólne bolączki uczelni i instytutów, które dotyczą zarówno braków w wyposażeniu w nowoczesną aparaturę naukowo-pomiarową, trudności ze zdobywaniem literatury naukowej, szczupłością pomieszczeń, brakiem odpowiednio wyspecjalizowanej kadry naukowej itp. Te liczne niedostatki i trudności rodzą zrozumiałe dążenie do współpracy i szukania wzajemnej pomocy. Ponieważ zjawisko to jest żywiołowe — opiera się ono głównie na znajomościach osobistych kierowników oraz pracowników poszczególnych placówek naukowych. Nadanie tej akcji pewnych ram organizacyjnych będzie na pewno dużym korzystnym dla zainteresowanych stron.

Znacznie trudniejsza do rozwiązania wydaje się sprawa koordynacji prac naukowo-badawczych na terenie miasta Poznania. Wnioski w tym zakresie precyzowane są bar-

Dr Feliks Kaczmarek

Dyrektor Instytutu
Przemysłu Zielarskiego

dzo ogólnie, brak im skonkretyzowania. Wydaje się to o tyle zrozumiałe, że koordynacja kierunków działalności wyższych uczelni i instytutów naukowo-badawczych leży w kompetencji poszczególnych Ministerstw; moment ten stanowi zarazem pewne ograniczenie możliwości dodatkowego koordynowania tych zagadnień na szczeblach niższych. Czy w takim razie istnieje potrzeba jakiejś komórki koordynującej pracę placówek naukowych na terenie m. Poznania i województwa? Sądzę, że odpowiedź na to pytanie pozostaje sprawą otwartą i wymaga szczegółowego przedyskutowania w gronie przedstawicieli władz miejskich oraz wyższych uczelni i instytutów.

Natomiast celowe wydaje się powołanie specjalistyczno-naukowego Kolegium złożonego z przedstawicieli wyższych uczelni i instytutów; stanowić by ono mogło organ doradczy i opiniujący przy Wydziale Nauki i Oświaty KW PZPR. Istnienie takiego Kolegium wydaje się ze wszelkich miar celowe i uzasadnione. Ono właśnie mogłoby inicjować oraz opiniować od strony naukowej rozliczne potrzeby rejonu Wielkopolski, szukać sposobów rozwiązania trudności na jakie napotykały instytucje naukowe na terenie Poznania, organizować pomoc i współpracę (aparatura, literatura naukowa itp.), rozważyć możliwości wzajemnego zbliżenia poprzez wymianę myśli i doświadczeń naukowych, za jąć się sprawą dokumentacji nauko-wo-technicznej itp. Z punktu widze-

nia zadań i zainteresowań Instytutu Przemysłu Zielarskiego, a mniemam również i pozostałych instytutów pracujących na terenie miasta Poznania, istnienie takiego łącznika między instytucjami naukowymi, a władzami miejskimi i wojewódzkimi byłoby bardzo pożyteczne.

Porażka sceptyków

Dokończenie ze str. 1

Wielkopolski, ale za mało jest artykułów dotyczących całego kraju, innych województw. W niektórych numerach widać zachwianie proporcji tematycznej: dużo się w nich pisze o istotnych sprawach kultury artystycznej, za mało natomiast o ważnych problemach przemysłu, rolnictwa, socjalistycznych przemian społecznych. Widoczne jest również, że na naszych szczupłych łamach nie mogą pomieścić się wszystkie ważne tematy, nie mogą one tak często, jak chcielibyśmy, gościć na stronach dodatku.

Dotychczasowy dorobek pozwala mieć nadzieję, że przynajmniej niektóre z tych braków w następnym roku przezwyciężymy, że uda nam się jeszcze bardziej ugruntować pozycję „Głosu Tygodnia” w zgodnym wysiłku zespołu redakcyjnego i współpracowników, którzy tak chętnie zasilają nasze łamy. Serdecznie im za to dziękujemy.

LESŁAW TOKARSKI



Ciąg dalszy ze str. 2

do obradujących sejmików jego eminenca ksiądz prymas pisze o upadku siły w Rzeczpospolitej, skutek to matactw dzisiaj podobnych...

— Na króla Prażmowski sobaczy, cyklop wszelecny. Czemu to, mości Zeleński, za nim trzymasz?

Zerwał się z ławy Piotr Opaliński, brat przyrodni Grzymułtowskiego, głosem zaślepiłym zaczął strzelać do posłów, że poważaniem żadnego nie mają dla senatorów urzędu, najzaczęjszych w narodzie krzywdą jeno chcą karmić fałszywymi oskarżeniami.

— Hola, hola, mości sremski starosto! Albo nam głowę myślisz zwracać albo naiwny jesteś i nie wiesz zaprawde, co się dzieje wokół. Siadaj, bo głos odbierzesz, siadaj.

— Niech mówi, jakim prawem odbieracie mu wolność mówienia?

— Jakim? Takim, po którym już na pewno nie podejmie się obrony przyrodniego braciarska — Zadzikowski potrząsał nowym listem. — Od jegomości podskarbiego Morszyńskiego do kasztelana Grzymułtowskiego. Nic zdrożnego, przyjacielskie znośnienie, jedno tylko niezrozumiałe, czemu miasto liter tak dużo cyfr tam kreslonych? — dworował zapalczywy poznaniak.

— Pokaż to pismo! Pokaż! — krzyk ogromny buchnął aż pod sklepienia.

— Patrzcie. Dowód zdrady najbardziej jawny. Patrzcie. — Zadzikowski pokazywał pismo tłoczonym się posłom.

— Kasztelan sam niech wyjaśni, co znaczą te znaki od ciemnej kabały.

— Grzymułtowski mów prawdę, przysięgam się, czemuś winien.

Poruszenie, bo oio podnosi się Grzymułtowski, chłop wielki, rozrosły. Czerwony jest, jakby przebywał nie w chłodnej kolegiacie, ale na największej spiskocie. Mają jeszcze przed nim respekt posłowie, ucisza się, z rzadka porzknęli któryś z najbardziej krwawych.

— Panowie bracia, złej wiary jesteście, skoro ślać was na czynienie tak obrzydliwych zarzutów. Nie mnie przedajność zarzucać, was to ktoś musiał widocznie przekupić, skoro za nic macie dosłojeniwa i dla ojczyzny zasługi...

— Patrzcie, jaki o ojczyznę straszkany. A z elektorem waci znośnienie?

— List niechaj tłumaczy, co owe cyfry znaczą, nie spisywał wszak ceny jabłek z bazaru.

— Grzymułtowski, tłumaczcie.

— Tłumaczcie!

Nikt nie siedział na miejscu, stali, tłoczyli się, wskakiwali na ławy, krzyk i brzękanie szablami. Grzymułtowski co raz to bieleje lub dla odmienny czerwienieje na gębie. Krzywi się złowrogo, śmiechem wybucha wołając:

— Poniżenie to byłoby dla mnie i mojej senatorskiej godności, bym się musiał z pism przywalić tłumaczyć. Nie sfolguję takim żądaniom, choćbyście mnie nawet o zamiar królobójstwa zamierzali oskarżyć.

Najbliżej kasztelanowi porwali się z miejsc, biegli ku niemu. Grzymułtowski przełożył wokół spojrzaniem, musiał się poczuć niepewnie, jeżeli zawołał teraz:

— Skoro gwałt takowy czynicie, ustąpie. Niechcie uda się wraz ze mną paru mospanów, w gospodzie szkatułę mam, w niej klucz do cyfr w piśmie...

Wyszedł z ławy, mocnym krokiem ruszył przez nawę ku wyjściu.

— Elektorski famulus! — w milczeniu padł znów ten okrzyk Kalksteina.

Drgnął Grzymułtowski, jeszcze się pohamował, zdawało się, kroku przyspieszył. Za nim dążył ku wyjściu łowczy Zeleński, porwał się z miejsca Jan Opaliński, kilku innych pośród posłów zmierzano ku bocznym wyjściom od strony zakrystii.

— Hola, nie puszczaj go, uciecze i tyle będzie widzieli — zakrzyczał Zdziechowski, biegł ku głównemu wyjściu.

Szczęknęła czyjaś szabla, zmieszali się krzyki. Grzymułtowski przysłał, dłoń uchwycił za karabelę, nieco wyciągnął ją z pochwy.

Tego już nie wytrzymały temperamenty. Tylnych ław ruszyli ku kasztelanowi cała gromada, dobywali szabli po drodze.

— Ach ty zdrajco, plugawcze wszelecny!

Ktoś karabelę mu wyrwał, inny machnął obuszką przez głowę. Nie zważając więcej na honor, biegiem ruszył Grzymułtowski ku wyjściu. Dopadli go

Dolaćczenie na str. 4

Feliks Fornalczyk

Uczta to nie jest

Chodzi tu oczywiście o „Ucztę morderców” Andrzeja Wydrzyńskiego, wystawianą przez Teatr Nowy w Poznaniu. Uczta to nie jest, ponieważ za dużo w niej kręciło się morderców. Mordercą w pewnym stopniu był już sam autor, mordując spektakl reżyser, znęcając się też nad tekstem poniekąd aktorzy.

Jak to się dzieje, opowiem. Autor nazwał sztukę „tragedią buffo z trucizną w czarnej kawie” i uznał się zwolnionym od wszelkiej odpowiedzialności za to, co dzieje się na scenie. W wyniku tego, rzecz zaczyna się jak rewia, a kończy jak „Kobra”. Już to tylko wskazuje na wielkie materii pomieszczenie. A przecież w sztuce są także wysiłki uczynienia z niej komedii obyczajowej, jest próba stworzenia współczesnego, szczeropolskiego Pigmaliiona, jest znakomicie wykorzystany komediowy fragment mowy skruszonego chuligana. Jest jeszcze wiele innych rzeczy, w ilości wystarczającej przynajmniej na dwie całkiem różne sztuki teatralne i kilka felietonów.

Reżyser Krystyna Wydrzyńska, raczej uosobienie łagodności i dobroci, jest tu niejako mordercą mimo woli. Miał rzeczywiście nastrzyk nóż, pokroić tekst i użyć przynajmniej części tych słów, jakich używa

w sztuce Robert, pod właściwym adresem, to znaczy autora i aktorów, wołała zabawić się w cierpliwego ogrodnika, który czeka na to, co wyrośnie na wiosnę. Oglądamy więc ni to ni owo. Nie uczta a coś w rodzaju brania czegoś na ząb, w dodatku na jednej nodze, z duszą na ramieniu. Brakło tu autentycznego herszta, faceta z temperamentem, który nie odczuwałby lęku przed żadnym ryzykiem.

Nie najistotniejsze cechy charakterów postaci nabierają w spektaklu decydującego znaczenia, to samo można powiedzieć o priorytecie poszczególnych postaci, a poprzez nie i poszczególnych problemów, stanowiących temat sztuki Andrzeja Wydrzyńskiego. Na pierwsze miejsce wysunął się bowiem w przedstawieniu Robert, ów skruszony chuligan, zagrabany z nerwem przez Ryszarda Ostrowskiego, a więc przesadzającego o wymowie spektaklu znaczenia nabrały formy zewnętrzne, mowa, slang młodzieżowy, a nie problemy obyczajowe, postaw itp. Dru-

gie miejsce w przedstawieniu, po Robertcie, przypadło Hance, pomocy domowej Horacego i Kornelii, zagrabanej z autentyczną vis comica przez Janinę Rafajską, ale znowu ta rola nie demaskuje głównych reprezentantów: swoistej obyczajowości mieszczańsko-inteligenckiej.

Horacy, zagrabany przez Stefana Orzechowskiego, maskuje się na scenie nie gorzej, niż jego odpowiednicy w życiu. Kornelia, grana przez Pelagię Relewicz-Ziembińską, to wszystko, co wie o mężu i córce, zachowuje także dla siebie. Lucjan, odtwarzany przez Włodzimierza Saara, oprócz pewnego zdeglustowania okazuje jeszcze chyba tylko wyjątkową powściągliwość. Alicja, w rzeczy samej główna bohaterka, gra ją w „Uczcie morderców” Nina Grudnik, przemierza scenę, czasem udaje rozleniwienie na twardych dechach schodów, i poza tym próbuje jakoś podołać wymaganiom swojej roli.

Otóż dokładnie te cztery postacie nie bardzo wiedzą, co mają z sobą

począć na scenie. Z nimi nie potrafił sobie poradzić reżyser. I z tej przyczyny znajdujące się w tekście Wydrzyńskiego sposrożeń obyczajowe, cała komedia fałszu i osłabienia, ów rzeczywisty kontrast między starym i młodym pokoleniem, rozmiął się na drobne, przepadł w deklamacjach, ściszeniach, dyskrekcji, wstydlivosti.

Dlatego mniemam, końcowa uczta morderców jest nieprzekonywująca, nieuzasadniona nawet. A cały spektakl staje się ledwie przegryzionym na przedce sandwiczem, kudy tam temu do uczty.

Mimo to ludzie przecież na przedstawieniu się bawią, i to bawią szczerze. Czym to wytłumaczyć? No, cóż, wbrew wszystkiemu, co tu powiedzialem, tekst Wydrzyńskiego zawiera sporo prawdy o współczesnym życiu obyczajowym, rysunek postaci zawiera natomiast sporo akcentów komicznych, a tego nawet najbardziej nieudane realizacje sceniczne nie są w stanie całkowicie wyeliminować.



